№ 47. Warszawa, dnia 29 Maja / 10 Czerwca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera. kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

GENEZIS
KOMEDYI DZISIEJSZÉJ.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 46*).

Ale niebawem na świecie zjawia się walka, zacięta, straszliwa, walka na śmierć i życie. Nie żadne to już interesa prywatne lub polityczne, nie ambicye doczesne, ale dwie idee występują do boju: pogaństwo i chrześciaństwo. Dziwna rzecz! Pod przyjście na świat Chrystusa, zdawało się że nie było na świecie nikogo od stoków Alp do Eufratu, coby szczerze przywiązanym był do dawnéj wiary i przyjmował ją na seryo; augurowie rzymscy śmieli się sami z siebie, lud śmiał się z augurów. W Grecyi, jeszcze za czasów Menandra, budzili oni obrzydzenie, bo oto co oględny poeta ten odważa się o nich publicznie wypowiedzieć: „Jak to oni odbywają objatę te oszusty! W swojéj to własnéj sprawie, a nie ze względu na bogi biorą oni obowiązek znoszenia na ołtarze koszyków i czarek z winem! Kadzidła i światło są to rzeczy święte: palą je też całkowicie, i to jest dla bogów. Dodajcie do tego kończyny lędźwi, żółć objaty i kości których ząb zachwycić nie może: to także dla bogów. Ale oprócz tego wszystko inne pozostaje dla tych nienasyconych ludzi." Wiara dawna tak mało zadawalniała, że były może miliony ludzi uciekających się do czarnoksięztw i zabobonu, kiedy tenże sam poeta niejednokrotnie powstaje na jakiś kult syryjski rozpowszechniony aż w uczonych Atenach. Widzieliśmy to w jego komedyi p. n. *Kapłanka*; spotykamy jeden jeszcze ustęp który tak brzmi:—„Nie lubię ja bóztwa które włóczy się po drogach i gościńcach, w towarzystwie staréj kobiety (czarownicy), i które wciska się do domów za pomocą obrazu. Prawdziwy bóg nie wychodzi z domu swego, i czuwa przy ognisku tych co mu wznieśli statuę." Ileż to w tém wszystkiem sceptycyzmu, ile wskazówek niezadowolenia, jeszcze na trzy niemal wieki przed Chrystusem. Tysiące możnaby przywieść świadectw że później było jeszcze gorzéj: że z jednéj strony powstawał coraz surowszy sceptycyzm, z drugiéj coraz większy szerzył się zabobon;—a wiara politeistyczna, podkopana nasamprzód przez filozofów, doznawała najzupełniejszéj obojętności, wisiała, zdawało się na włosku. Teraz, kiedy przychodziło obciąć ten delikatny włosek, nagle zjawili się obrońcy. Chrześcianie przeciw torturom pogaństwa postawili zapał; późniéj przeciwko myśleniu jego postawili myślenie swoje (Szkoła Alekandryjska i Ojcowie Kościoła). Nareszcie i przeciwko sztuce jego, potężnie działającéj na umysły, trzeba było coś także postawić... ale co?

Chrystyanizm miał tę taktykę, żeby wdrażając treść swoich zasad, dla łatwiejszego ich przeprowadzenia, oszczędzać formy powierzchowne, do których lud był przywiązanym. Pozostawił więc pompę uroczystości, symbolikę, posągi nawet i obrazy, do których w dawnéj swéj wierze nawykł był ogół: tylko że pod temi wszystkiemi oznakami kryła się treść zupełnie inna. Zamiast Larów i Penatów, przyszły wyobrażenia św. Patronów; zamiast posągów Terminusa po drogach, stawały wyobrażenia Błogosławionych; Jowisz ustąpił miejsca Opatrzności. A tymczasem starano się co tylko można zniszczyć z pomników dawnych aby nie bruździły w umysłach.

Teatr pogański wyśmiewał chrześcian, trzeba więc było i w téj mierze sprowadzić jakąś reakcyę,—i ozwały się misterya religijne, w żywych obrazach przedstawiające sceny z nowego Testamentu.

Oczywista rzecz, że o sztuce, o *sztuce* prawdziwéj, ani mowy tu być nie mogło. Sztuka nie wytrzęsie się z rękawa, a tu nowa idea zanadto była jeszcze nową, zamało zżytą ze wszystkiemi stosunkami życia ażeby mogła już z siebie wyłonić sztukę naturze swéj odpowiednią. Dotychczas oto jeszcze rzeźba chwieje się pomiędzy światem starym i nowym i w żaden sposób nie może trafić na właściwą drogę, jak tylko chodzi o coś więcéj jak o popiersie. Cóż to dopiero mówić o sztuce w ogólności w pierwszych wiekach chrześciaństwa!.,.

Ten jednak duch religijny panował w sztuce i w teatrze długi czas, i daleko nawet po za epoką walki, przeszedł w wieki średnie.

Znowu tedy widzimy toż samo zjawisko któreśmy widzieli w świecie starożytnym, ten sam proces w rozwoju sztuki. Poczyna się ona w imie bóztwa, późniéj się dopiero sekularyzuje, ogarnia coraz większą liczbę czynników i faktów. Wielka tylko zachodzi różnica w przypadłościach zewnętrznych.

Sztuka chrześciańska przez kilkanaście wieków w żaden sposób wydobyć się nie może z pieluch. Łamie się i obraca na wszystkie strony; poezya miewa świetne błyski w pieśniach menestrellów i trubadurów, w niektórych hymnach kościelnych, i do jedynéj nareszcie syntezy przychodzi w wielkiém dziele Danta. Architektura rozrzuca tu i owdzie wspaniałe pomniki, jedyną oryginalność artyzmu chrześciańskiego: Boska komedya i Tum Koloński oto jedyny wieków średnich testament artystyczny po tyloletnich wysileniach.

Z teatrem rzecz się miała daleko gorzéj. Wszystko co znamy aż do epoki odrodzenia jest martwą lichotą do któréj żaden talent ręki nie przyłożył, nawet już wówczas gdy dramat wystąpił na szersze pole świata. Jest on w prawdzie oryginalnym, względnie do narodu, który go uprawia; arlekinady włoskie; francuzkie *moralités* i *sotties*; angielskie *interludes*, mają nie zaprzeczenie odbłyski narodowego dowcipu, ale znaczenie ich w sztuce, w artyzmie, jest żadne. Przeczytaliśmy z pilnością sztukę, która uchodzi za coś najbardziéj skończonego z całéj literatury dramatycznéj owych czasów, a napisaną była już w połowie 16 wieku (choć drukowana w sto lat późniéj),—to angielska: *Gammer Gurdon's Needle*; i rzeczywiście jest to oryginalna narodowa komedya, ale pełna brudów i do wysokiego stopnia karczemna, a nie ma w niéj nic takiego coby wziąść można za jakąś wskazówkę wzoru według którego, po odrzuceniu pierwiastkowéj surowizny, mogłaby się daléj kształcić scena narodowa, i dać impuls scenom innych narodów. Jest to tylko szczegół, nie zapominajmy jednak, że uważany za najwybitniejszy; ale toż samo rzec można o całym tym ogromie pisaniny dramatycznéj. Nie widać w nim i nie ma w nim téj nici, któraby nieprzerwanym ciągiem przeprowadziła twórczość średniowieczną dramatu aż do sceny dzisiejszéj. Nić ta się gdzieś urywa i od razu, bez przejścia wchodzi element nowy.

Czyż nowy?.. Nie; to stary attycyzm grecki. Jak malarstwo w epoce odrodzenia, nie mogąc sobie inaczéj poradzić, rzuciło się do wzorów greckich, i myśl swą własną usiłowało oddać w formie ztamtąd przejętéj, posiąść tę formę na własność, przetopić w organizmie własnym ażeby nie poddać się jéj tylko nią władać;—tak samo sztuka dramatyczna nie wypierając się geniuszu narodowego, na greckim oparła się wzorze co do zasad i formy. Wzrastająca oświata klass wyższych nie mogła się zadowolnić surowemi elukubracyami domowego nastroju.

Zapewne że pierwsi poeci ktorzy poszli za tym prądem nie musieli od razu czerpać tego attycyzmu z pierwszéj ręki, gdyż język grecki nie był tak bardzo dostępnym, ale otworem stała łacina, która zawsze, bądź co bądź, jest pewnym refleksem myśli greckiéj. Komedyopisarze wzięli się do rozpatrywania sztuk Plauta i Terencyusza, a ktoś nawet wyraził się o Molierze że on *obłupywał Menandra* (il a épluché Ménandre). Wszak każdy z nas rozumie że nie mówimy tu o naśladownictwie żadnem, które byłoby istną karrykaturą. Był to tylko krok dążący do wyszukania sobie formy w któréjby talent miał najbogatsze i najłatwiejsze pole do urzeczywistnienia się. Zbadano formy greckie i musiano się przekonać że one są dobre; zbadano tameczne elementa dramatu i przekonano się że komedya grecka ostatniego zwrotu, reprodukowana przez poetów rzymskich, jako za cel swój mająca tworzenie charakterów ludzkich, jest najwyższą i jedyną zdolną przybrać cechę sztuki ogólno-ludzkiéj, i zasadę téj komedyi przyswojono też sobie. Zasada ta weszła pomiędzy artyzm średniowieczny a dzisiejszą scenę, i zatarła pomiędzy niemi tę ścisłość związku jaka zachodzi w artystycznym i narodowym rozwoju sztuki greckiéj; natomiast sztukę dzisiejszą połączyła ze sztuką grecką. Tu właśnie otrzymało zwycięztwo owo Terencyuszowskie: *nihil humanum*... wbrew wszystkim tegoczesnym postępowcom, którzy *przeszłość* odsyłają do trupiarni.

Jesteśmy pewni, że gdyby cud jakiś zdołał nam wskrzesić dzisiaj wszystkie dzieła Menandra, nie znaleźlibyśmy pośród nich ani jednego coby bezwzględną wartością swą dorównało kilku arcydziełom Moliera, który wyższym jest nad ateńczyka całym światem pojęć a może i talentem; wreszcie nie przypisujemy sobie posiadania właściwéj miary do sądzenia talentu i jego objawów w dwóch ludziach oddzielonych od siebie taką przestrzenią czasu: może starożytni Grecy ze swego stanowiska inaczejby się na to zapatrywali; możeby i Molier przy swym talencie, będąc w miejscu i czasie Menandra, nie był mu zdolnym dorównać. Jak stilusa z gęsiem piórem, tak i dwóch tak różnoczesnych dzieł sztuki bezwzględnie porównywać nie można, niby dwa wyroby porcelanowe wyszłe z jednéj formy i z jednéj fabryki. To wszakże pewna, że jak Fredro łączy się z Molierem, który jest ojcem komedyi nowoczesnéj; tak ten przez Plauta (porównaj *Aulularium* i *Skąpca*) łączy się z Menandrem, który znowu myślą swą panuje nad niemi wszystkiemi. Jest to obcowanie wielkich duchów w tym bratnim kościele który zwie się Ludzkością.

Kazimierz Kaszewski.

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 46).

Po chwili Helena skończyła się modlić—Szwarc znów podał jéj rękę. Szwarc był milczący, widocznie ciążyło mu coś na sercu;—chcący czy nie chcący powiódł Helenę inną niż poprzednio drogą. Nagle, blizko już bramy, wskazał ręką jednę z mogił, i rzekł zimnym jakimś głosem.

— Patrz Heleno oto ten człowiek kochał cię za życia więcéj niż Potkański, a jednak aniś wspomniała o nim.

Dzień pochylał się już cokolwiek—Helena rzuciła okiem na przedmiot, który ukazywał jéj Szwarc. Na mogile stał czarny drewniany krzyż, a na nim białą farbą były napisane słowa.

„Gustaw.... zmarły dn.... r...."

Promienie wieczorne malowały niby na krwawo litery napisu.

— Chodźmy ztąd... ciemno się robi, szepnęła Helena tuląc głowę do ramienia Szwarca.

Gdy wchodzili do miasta, mrok już zaczynał się na dobre, ale zabierało się na noc pogodną. Księżyc wielki, czerwonego koloru, wytoczył się z za Dniepru. W gęstych alejach Żandarmskiego ogrodu, tu i owdzie słychać było czyjeś kroki;—z jednego okna otwartego w przyległym pawilonie słychać było tony fortepianu; jakiś młodziutki głosik śpiewał pieśń Szuberta; tony drgały w ciepłém powietrzu—daleko, daleko na stepie ozwała się trąbka pocztarska.

— Śliczna noc, mówiła z cicha Helena. Dla czegoś smutny jakiś Józefie?

— Siądźmy trochę, rzekł Szwarc,—zmęczony jestem.

Siedli, i oparłszy się sobie o ramiona zadumali się trochę oboje. Nagle z zadumy wyrwał ich jakiś młody, dźwięczny głos—głos ten mówił:

— Słusznie Karolu! Największém szczęściem jest czysta miłość kobiety, jeśli jest echem na głos prawdziwie męzkiéj duszy.

Dwaj młodzi ludzie, trzymając się pod ręce przechodzili zwolna koło ławki, na któréj siedzieli Szwarc z Heleną.

— Dobry wieczór! ozwali się obaj uchyliwszy kapeluszy.

Byli to Wasilkiewicz i Karol Karwowski.

Szwarc rozstając się z Potkańską, długo trzymał jéj rękę przy ustach i cały wzburzony poszedł późno do domu.

IX.

Na drugi dzień jednak, Szwarc wyspawszy się doskonale, był już zupełnie spokojny, śmiał się nawet z dnia poprzedzającego i z własnych obaw i niepokojów.

— Dużo się gada pięknych frazesów, myślał sobie, lecz rzeczywistość? Głupiec tylko odpycha od siebie szczęście. Gustaw najlepszym tego dowodem co znaczy jednostronne, choćby najsilniejsze, choćby najbardziej męzkie uczucie! To się życiem płaci, a ja mało jestem przydatny do tragedyi. Zresztą, kocham Helenę, a ona mnie. Co komu do tego? Augustynowicz, wstawaj-no urwisie! mów co za szatan stujęzyczny zawracał wczoraj przez ciebie głowę jakiéjś orzechowéj parasolce—co?

— Widziałeś, jéj oblicze? pytał Augustynowicz, zmuszając się do westchnienia.

— Widziałem, i na Jowisza! podobne do świeżo wyrwanéj rzodkwi — matka wyglądała jak dzieżka kwaśnego mleka. Cóż? zakochałeś się mój stary?

— Daj pokój, to bardzo bogate kobiety.

— Obie? Ileż ma córka?

— Ktoby tam zliczył taką summę—a jeszcze będzie bogatsza.

— Bogatsza?—o męża i dzieci?

— Nie, ale matka przyjechała w sprawie procesowéj, a czy wiesz kogo procesuje?— Naszego sąsiada hrabiego, winien jéj kilka tysięcy złotych.

— Zkądże to wiesz wszystko? Dawno ją znasz?

— Od wczoraj dopiero. Poznałem ją przypadkiem: pytały mnie o drogę — dokąd?... nie uważałem na honor ale powiedziałem że czas jest bardo piękny, i spytałem czy nie zechcą zemną na spacer. Staruszka gadatliwa wielce—natychmiast dowiedziałem się kto są i po co przyjechały. Pytała się, czy nie znam hrabiego? odrzekłem, że bywam tam codziennie i że wpłynę na starego, by jéj wrócił co winien. Powiedziałem także, że jestem doktorem medycyny, teologii i wielu innych nauk i sztuk,—że mam ogromną praktykę w Kijowie. Wtedy matka zaczęła mi do ucha opowiadać dolegliwości swoje i córki. Powiedziałem, że będę u nich i zbadam rzecz na gruncie.

— Naturalnie. Cóż córka na to?

— Wywiesiła na obliczu czerwoną flagę... ale matka zgromiła ją za to, wezwała wszystkich świętych i zapewniła mi ich ogólne poparcie w chwili straszliwego sądu. Widzisz com wygrał!

— Naiwny jesteś...

— Będę dziś u nich.

— U Świętych Pańskich?

— Nie — u moich nowych znajomych. Poradzę im, żeby obie zamąż poszły.

— Młodsza za ciebie?

— Cóż chcesz, mój drogi! człowiek się starzeje; zresztą myślę, że i ciebie powitamy niedługo kosmatą dłonią?

— Prosiłem cię, żebyś się nie wdawał pomiędzy mnie i Helenę.

— Dobrze. Powiem tylko, że jest prześliczna!

— Ba! odparł Szwarc ze źle ukrywaném zadowoleniem.

W téj chwili wszedł Wasilkiewicz.

— Na chwilę wpadam rzekł — Karol czeka mnie na dole; jedziemy razem na wieś. Szwarc, mam do ciebie interes. Krótko! Nie chciałem się mieszać w twoje stosunki miłosne — mimo prośb Augustynowicza — ale to się już ciągnie zadługo. Powiedz, co myślisz zrobić z Potkańską?

Szwarc cisnął gwałtownie w kąt pokoju cybuch, który trzymał w ręku, poczém siadł i spojrzał Wasilkiewiczowi w oczy.

— Pytanie za pytanie—rzekł. Powiedz, co ci do tego?

Wasilkiewicz zmarszczył się, nasrożył, ale odrzekł spokojnie:

— Pytam jak kolega kolegi. Helena nie należy do rzędu kobiet, które się kocha dziś a nie kocha jutro. Zresztą, przez pamięć na Potkańskiego, każdy z jego kolegów ma prawo żądać odpowiedzi na podobne pytanie.

Szwarc wstał, na czole u niego była burza, w oczach błyskały światełka gniewu.

— A jeśli ja nie dam odpowiedzi—to co? zawołał. Kto ma prawa do Heleny?! kto śmie mieszać się między mnie i ją?

Teraz z kolei wybuchnął Wasilkiewicz.

— To ty myślałeś ptaszku, że my ci pozwolimy czumanić biedną kobietę, i nie spytamy dokąd to prowadzi? Niech cię szatan porwie! Musisz przed nami odpowiadać za honor wdowy Potkańskiego, i nie ja jeden będę się o to upominał!

Stali czas jakiś naprzeciw siebie z oczyma w oczach, z groźbą na czole, jakby chcąc wyprobować się wzajemnie.

Wreszcie Szwarc, lubo drżący z gniewu, pierwszy zapanował nad sobą i zaczął mówić:

— Słuchaj-no Wasilkiewicz! Gdyby mi kto inny to zrobił, wyrzuciłbym go za drzwi. Nie należę do tych, co pozwalają sobą rządzić, i nie rozumiem, dla czego mieszacie się w nie swoje rzeczy. W każdym razie obraża mnie to. Odpowiadam więc tobie i wszystkim, co się o honor Heleny chcą upominać: że z tego honoru tylko przed sobą będę zdawał sprawę, że nie pozwolę nikomu mieszać się w moje postępki, i że ty i twoi, robicie wielkie niczém niewytłómaczone, brutalne i szkodliwe dla Potkańskiéj głupstwo, ujmując się za nią. Skończyłem i wychodzę, zostawiając ci czas do rozwagi nad tém co zrobiłeś.

Wasilkiewicz został z Augustynowiczem.

— Cóż?—zmył ci głowę?—pytał ten ostatni.

— A zmył.

— Hę? powiadasz tedy, że ci zmył głowę?

— Zmył.

— Głupstwoś zrobił,—z nim trzeba było łagodnością—to twarda sztuka!

Szwarc udał się wprost do Heleny. Był do najwyższego stopnia rozdrażniony; nie umiał sobie wytłómaczyć postępku Wasilkiewicza, czuł jednak, że owa trzecia ręka mieszająca się między niego i Helenę, oddala ich tylko zamiast przybliżać.

Gdy wszedł do Heleny, drzwi od jéj pokoju zastał zamknięte; służąca nie umiała mu powiedzieć co pani robi. Uchylił drzwi—Helena spała, oparta o poręcz wielkiego fotelu. Szwarc stanął we drzwiach i patrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Nie przebudziła się: krągła jéj pierś podnosiła się i opadała lekkim miarowym ruchem. Nie masz nic bardziéj miękkiego, jak łagodny odruch piersi kobiecych. Oparłszy na nich głowę, można ukołysać się i usnąć jak w kolebce lub w łodzi trącanéj z lekka falą. Każdy pamięta, jak tak usypiał na piersi matczynéj. Tajemnicze królestwo snu zdradza się w kobiecie tym ruchem tylko który możnaby nazwać błogosławionym, tak wiele warunków ludzkiego szczęścia faluje z nim razem w krainach spokoju. Ruch skrzydeł anielskich musi być do niego podobny. Usypia wszystko, zacząwszy od płaczu dziecięcia, do dumnych myśli mędrca. Głowa mędrca spiąca na piersiach kobiety, to największy tryumf miłości. Szwarcowi musiały podobne myśli chodzić po głowie, bo patrząc na śpiącą Helenę, łagodniał ciągle niby noc przechodząca w poranek; pochylił się ku niéj i ustami dotknął lekko jéj ręki. Helena drgnęła, i otworzywszy szeroko oczy uśmiechnęła się jak dziecko, które ze snu budzi aksamitny pocałunek matki. Szwarc po raz pierwszy przychodził do niéj z pieszczotą tak miękką i delikatną—zwykle bywał jeśli nie surowy—tedy poważny; ale dziś przykre wrażenia kłótni z Wasilkiewiczem przychodził zatrzeć i zapomnieć u jéj nóg. Cudowna potęga kobiety, pod któréj wpływem mętny osad duszy opada na dno niepamięci, ochwytywała go z wolna. Za nadto jednak był wzburzony, by mu przez słowa nie miała się przecisnąć część goryczy, którą czuł przed chwilą.

Podniósł głowę i spojrzał w oczy Potkańskiéj, potém począł mówić:

— Heleno, zdaje mi się, że cię bardzo głęboko kocham, ale głupota ludzka drażni moją miłość własną, wyzywa mnie. Chciałbym w tobie saméj znaleźć w niéj siłę. Ufaj mi Heleno—kochaj mnie!

— Nie rozumiem cię mój Józefie?

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA

Poznań w końcu maja 1872 r.

Wśród wypogodzonéj niepamiętnie od lat kilku wiosny, wśród rozwijającéj się bujnie i pięknie wegetacyi, choć nieszczególnéj mimo to perspektywy przyszłego żniwa, wre i kipi jakby na przekór pięknéj naturze przedewszystkiém namiętność spekulacyjno-finansowa, uwydatniając się bardzo wyraźnie na zewnątrz. Dość rzucić okiem na ulice i bruk miasta Poznania, dość przebiedz choćby najpobieżniéj rubrykę miejscowych wiadomości czterech naszych polskich i dwóch niemieckich dzienników, by się przekonać, jak dalece prawdziwe jest nasze spostrzeżenie, i jak dalece cieszące się niby to tylko na bruku wiedeńskim „*gründerstwo*,” przenosi się i na nasze skromne terytoryum wielkopolsko-poznańskie. *Powierzchownie* przedstawia Poznań w obecnéj chwili widok miasta restaurującego się po pożarze lub nowo powstającéj wśród lasów i bagien Ameryki Północnéj kolonii europejskiéj. Wszędzie stuk rydla i młota, wszędzie widok wywracanych starych domków małych, wyrastających z gruzów ich i popiołów wspaniałych gmachów nowych. Fizyognomia naszego *Poznania* zmienia się w skutek tego *nie do poznania*. Pamiątki starożytności, które choćby najgorliwsze nowatorstwo, które nawet namiętność restauratorska, jak Napoleona III w Paryżu oszczędzać zwykła, jak np. wieżę Templaryuszów na ulicy Rivoli, nikną wśród tego bez śladu i bez miłosierdzia, a między innemi usunionо zabytek gotycki XVI wieku, tak zwaną *Ciemną Bramkę*, choć na straży jéj sterczał na kamiennéj tablicy niemiecki napis z r. 1506. Mimo tego przebudowywania całego miasta, mimo powstawania tylu nowych kamienic, a dodajmy i to, mimo *nie* wzrastającéj bynajmniéj w odpowiednim stosunku ludności, wzmaga się przecież z każdym dniem równie trudność dostania mieszkań jak ich cena, a wiążąca się w towarzystwa akcyjne i banki budownicze spekulacya wyzyskuje podobne położenie rzeczy do najostatniejszych krańców. Ta strona dostrzegalnéj na zewnętrznéj fizyognomii miasta spekulacyi, obcéj do tego, obcych celów i obcego autoramentu, nie byłaby nam koniecznie sympatyczną, ani nie stanowiła żadnego dodatniego żywiołu w zbiorowym ruchu naszego ogólnego życia. Na szczęście jednakże nie jest owa spekulacya budownicza *alfą* i *omegą* naszego materyalnego rozwoju. I tak wyrastają u nas, co chwila, bądź to w Poznaniu samym, bądź na prowincyi, przedsięwzięcia fabryczne na akcye, jak np. zakłady młynów parowych, garbarnie i t. d. Nie dość zaś na tém, nie dość na tych przedsiębierstwach prywatnych: zawiązało się tutaj ostatniemi czasy stowarzyszenie rozleglejszych celów i szerszego zakresu. Jest niém *Bank włościański*, ogarniający działalnością terytoryalną całe W. Księztwo Poznańskie, mający na celu przyjść w pomoc niedostatkowi małych posiadłości włościańskich i przerwać nareszcie zabójczy i zgubny strumień bezsumienności lichwiarskiéj, która już tak dotkliwe szczerby w szeregach małych właścicieli naszych poczyniła. Skutki lichwiarskiéj roboty stawały się mianowicie ostatniemi czasy widoczne, odkąd przyśpieszona procedura nowego subhastacyjnego prawa zaczęła cyframi corocznéj statystyki wykazywać, jaki to procent małych posiadłości naszych ziemskich z naszych w obce przechodzi ręce. Smutne to a uderzające z każdym dniem bardziéj spostrzeżenie zwróciło nareszcie uwagę i pieczołowitość troskliwych o dobro naszego wiejskiego ludu i wywołało ów pomysł *Banku Włościańskiego*, który obecnie przeszedł już w fazę faktu dokonanego, a co najważniejsza, poczyna z owéj dobroczynnéj skuteczności być rozumianym i pojmowanym przez niedowierzającą zwykle najzbawienniejszym dla niéj intencyom ludność naszą wiejską. Przyczynia się do tego niepomału urządzona umiejętnie i prowadzona energicznie agitacya za pomocą ludowych zgromadzeń po różnych miejscach W. Księztwa Poznańskiego, jak np. w Krotoszynie, Czempiniu, Stęszewie, Krobi,—zgromadzeń, którym częścią pretensyonalność, częścią nieznajomość języka, daje wielce zbyteczne nazwę „*wieców*.” Na tych wiecach wykładają mówcy ludowi w sposób jasny i dostępny pojęciu swych słuchaczów, ważność, cel i znaczenie mającego się zakładać włościańskiego banku, a poczciwi chłopi nasi przystępują w coraz znaczniejszéj liczbie do przedsięwzięcia, którego użyteczność przestaje im być wątpliwą. W razie rozwinięcia należytego nowéj téj instytucyi, na co się, sądząc z dotychczasowych jéj początków najzupełniéj zanosi, należy się spodziewać, że dobrobyt naszych małych właścicieli w skutek możności zyskania łatwego kredytu bardzo się podniesie, a że nareszcie mimo surowości nowego prawa subhastacyjnego, wywłaszczanie dotychczasowe ich się skończy i przerwie. W korespondencyi méj z przeszłego miesiąca donosiłem o zamiarze wystawy rolniczo-przemysłowéj na miesiąc maj w Poznaniu. Wystawa ta przyszła w dniu 16 b. m. do skutku, jedynie wszakże tylko ze strony żywiołu niemieckiego naszego miasta i kraju, ponieważ Polacy nie znaleźli się z wielu względów w mo-

żności brania w niéj jakiegobądź udziału. Dzięki téj abstynencyi, uosobiła też wystawa niemiecka poznańska w gruncie rzeczy najzupełniejsze *fiasco*, jakkolwiek tutejsza prassa niemiecka wielki jéj nadawała rozgłos i szerzyła sławę. Nasamprzód, co się tycze zjazdu, nie był on wcale ani zbyt znacznym, ani szczególnie widocznym po fizyognomii zewnętrznéj miasta. Kilkanaście bryczek i nieszczególnie nadobnych ekwipaży trochę krążących po ulicach miasta ku Berlińskiéj bramie, dowoziło kilkadziesiąt osobistości z różowemi biletami wystawy u kapeluszy, — otóż i wszystko, co w Poznaniu naszym, na ulicach i placach miasta, było dostrzegalném z wystawy. Co się zaś tycze saméj widowni przed sięwziętéj wystawy, była ona zewnętrznie bardzo okazale i kosztownie przysposobiona. Bariery, trybuny dla publiczności, różno kolorowe flagi i sztandary, wszystko to było piękne i ozdobne, ale poniekąd niewypełnionemi tylko kadrami tego, co miało być a czego się napróżno spodziewano. I tak np. wyczekiwano przybycia kanclerza Rzeszy Niemieckiéj, któremu zamierzano zgotować owacyę za jego wystąpienia sejmowe w interesie niemieckiéj ludności W. Ks. Poznańskiego. Książę Bismarck wymówił się jednakże grzecznym listem do prezesa komitetu wystawy, pana Tempelhoffa, przytaczając względy osłabionego zdrowia, co już samo przez się wpłynęło niezbyt korzystnie na frekwencyę wystawy i humor wystawiających. Nie dość na tém, chybiła także nadzieja przybycia ministra rolnictwa p. Selchowa, który nie przybył, bo święcił właśnie w Berlinie 50-letni jubileusz wstąpienia swego w służbę państwa. Skończyło się więc tylko na obecności jakiegoś radcy z ministerstwa rolnictwa, którego osoba nie była zdolna ściągnąć zbyt licznego zastępu ciekawych. Również mała była stosunkowo liczba zwiedzających wystawę, na których przedsiębiercy jéj głośno rachować się zdawali w przedmiocie pokrycia kosztów wystawy. Mieli do tego tém większe prawo, że wszystkie wystawy urządzane poprzednio, jako to w Gostyniu, Pleszewie, Szamotułach, Kościanie, zapłaciły wszelkie koszta urządzenia wystawy z biletów zakupionych przez publiczność. Wystawa rolniczo-przemysłowa kościańska zrobiła nawet na sprzedaży biletów tak świetny interes, iż przewyżkę 5 do 600 talarów mogła zaofiarować na rzecz szkoły rolniczéj w Żabikowie. Inaczéj stało się z wystawą poznańską, mimo rozgłosu, jaki jéj nadać usiłowano, mimo wielkiéj daléj świetności urządzenia. Wynoszące do trzydziestu tysięcy talarów koszta wystawy nie znalazły się pokrytemi ani w połowie, a ponalepiane po rogach ulic niebieskie afisze, zniżające cenę biletów wystawy o połowę, świadczą najlepiéj o kłopotach finansowych komitetu. Co się tycze wartości samychże przedmiotów wystawy, odznaczało się jedynie tylko pięknemi okazami bydło; konie i owce z rzadkiemi wyjątkami były mierne; machiny rolnicze nie przedstawiały nic nowego i nic nadzwyczajnego. Obejrzawszy więc sobie rzecz całą, przypatrzywszy się jéj ze wszech stron, przychodzi się do prawdziwego, niestety! rezultatu, iż cała wystawa tegoroczna poznańska zrobiła gruntowne *fiasco* a że chcąc, by się na przyszłość udała, nie pozostaje nic innego, jak uczynić wszystko w celu zapewnienia sobie udziału polskiéj części ludności naszege kraju.

Zwracając się od przedsięwzięć finansowych i spekulacyjnych, od spraw dogorywającéj właśnie wystawy do sfery artystyczno-literackiéj, zauważylibyśmy, że obecny kwartał ku nieszczególnéj pociesze naszéj przedstawia widowisko wręcz przeciwne z pierwszém ćwierćroczem roku 1872. W pierwszym kwartale byliśmy zalani prawdziwą powodzią publicznych odczytów, różnego rodzaju koncertów, przedstawień teatralnych. Obecnie nie ma tego wszystkiego najzupełniéj. Po prowincyi jeździ ze szczupłém towarzystwem dramatyczném Kaliciński i daje kolejno przedstawienia w Śremie, Gostyniu, teraz w Gnieznie; w Poznaniu samym usiłowały niedobitki rozpuszczonego w miesiącu Marcu teatru wystąpić z kilku przedstawieniami. Napróżno jednakże, rzecz nie powiodła się, bo się z wielu względów powieść nie mogła, a Poznań mający swe komitety teatralne, zabierający się do wystawiania wspaniałych gmachów teatralnych, czeka czy mu miesiąc Wrzesień według przyrzeczenia komitetu teatralnego sprowadzi istotnie stałą scenę polską. Z początkiem miesiąca Czerwca ma przecież przybyć do nas na kilka tygodni letnich teatr krakowski pod dyrekcyą p. Stanisława Koźmiana, z czego publiczność nasza spragniona sceny narodowéj, wielce naturalnie zadowolona. Dziennikarstwo nasze rozkwituje chorobliwą istnie bujnością. Cztery codzienne gazety treści polityczno-społecznéj, jedna poświęcona sprawom kościoła i wiary, jedna literaturze: mamy tedy sześć czasopism, co na Poznań i prowincyę wcale szczupłą liczbą nie jest. Zapowiadają nadto z dniem 1 Czerwca nowe jeszcze czasopismo polskie, specyalnéj bardzo natury, bo poświęcone wyłącznie sprawom drukarstwa polskiego. Jakie ono będzie i czém kolumny swe wypełni, niepodobna nam na tymczasem ocenić. Co się tycze nowości literackich nie wiele mamy w rubryce ich do zapisania. Nakładcza księgarnia Żupańskiego wydała w ciągu ubiegłych kilku tygodni jako nowy tom ogłaszanych przez się od lat kilku pamiętników XVIII wieku, zbiór *Listów Hugona Kołłątaja* z r. 1792 czyli z epoki pobytu w Szlązku i Saksonii. Listy te zajmującéj treści, pozostaną ważnym przyczynkiem do odcyfrowania legendowéj już nieco dla naszéj generacyi osoby Kołłątaja, ale nie powiemy, by rzucały zbyt dodatnie światło na jego publiczny charakter. Troskliwość wygórorowana o dochody z beneficyów polskich, pomysły spekulacyjno-handlowe na rzecz własną, przy bardzo słabym interesie dla spraw krajowych, otoż nieszczególnie budujący sens moralny wszystkich tych listów, poprzedzonych nawiasowo powiedziawszy, objaśniającym wstępem p. Lucyana Siemieńskiego. Otoż jedyna nowość literacka, o jakiéj mi w dzisiejszéj ztąd korrespondencyi wspomnieć przychodzi.



N O C.
Rzeźba professora Schillinga z Drezna. (Obacz opis Nr. 9).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

ZA I PRZECIW,
Komedya w 1-ym Akcie
przez Oktawiusza Feuillet.
tłumaczona z francuzkiego.

(*Pierwsze przedstawienie 1 Czerwca b. r.*)

Żarcik sceniczny Oktawiusza Feuillet p. n. *Za i przeciw* przypomina trochę swoim rezultatem podanie o mistrzu Twardowskim.

Sens jednak téj komedyjki nie jest zawieszonym jak nasz czarnoksiężnik z Łysej góry między niebem a ziemią; nie waha się on, jakby to

może ktoś chciał zrozumieć, między wzniesionym nad słońca i gwiazdy ideałem, a zmysłowością wiążącą do zbrukanéj murawy padołu, lecz po prostu bują sobie *au gré des vents*, w przestrzeni któréj jedną granicę stanowi pospolita niedorzeczność, drugą zaś—cynizm wysuwający swoje niezbyt poetyczne rożki z po za wykwintnéj osłony stylu i salonowego dowcipu.

O ile zdaje się, komedya *Za i przeciw* na każdéj innéj scenie przedstawianą bywa zwykle przez trzy tylko osoby. W naszym zaś teatrze obowiązujący personel powiększonym został o jedną dodatkową rolę. Przytaczamy mimochodem tę okoliczność nie chcąc narazić się na zarzut, żeśmy w sprawozdaniu z widowiska będącego dziełem wspólnych starań, pokryli lekkomyślném milczeniem gorliwą pracę suflera.

Ale również słuszność nakazuje nam wyznać, że pochwała za dostarczoną publiczności sposobność ocenienia téj wstydliwéj zasługi nie odnosi się tu wcale do rol kobiecych wykonanych samolubnie, bez niczyjego widocznego udziału. Dopiero „inicyatywa męzka” wywiodła ciche usiłowania na szerszą widownię, stosując się zapewne do uwag niemieckiego humorysty Hoffmana.

„Niech (radzi on) stojący za kulisami maszynista w najtkliwszych miejscach drammatu silnie pociąga za sznurek przywiązany do nóg rozpaczających na scenie bohaterów kierując ich ruchami w tak jawny sposób, aby publiczność nigdy nie zapominała, że widzi przed sobą sztukę, a nie rzeczywistość, i aby ciągła myśl o zręczności artystów podwajała wrażenia wywołane widokiem zmyślonéj sytuacyi... Niech kulisy trzęsą się co chwila i grożą upadkiem na głowy aktorów ku większemu wzruszeniu widzów i wykonawców, niech osoby zmuszone zejść ze sceny znalazłszy zamknięte wszystkie wyjścia pomnażają kłopotem swoim efekt komiczny i t. d. i t. d.

Niepamiętamy czy w pomysłach nowego maszynisty, korzyści dające się wyciągnąć z suflerskiéj budki były także przewidziane. Cóżkolwiekbądź, gdyby nawet zostały pominięte w teoryi, zaczyna już je przyswajać sobie praktyka — a to zysk nie mały.

Przedmiotem komedyjki Feuilleta jest filozoficzno-żartobliwa rozmowa młodych małżonków, w któréj oboje wypowiadają wiele roztropnych zdań *za i przeciw* przywilejom uprawniającym niewiarę małżeńską. Pan Margrabia trzyma stronę mężczyzn twierdząc że niewierny mąż poświęca pokątnym miłostkom chwilową tylko fantazyę, gdy żona oddaje im serce, nie mówiąc już o różnicy skutków błędu. Margrabina przeciwnie staje w obronie kobiet, utrzymując że im prawo odwetu słusznie się należy. Na opinię dysputujących wpływa zresztą powód bardzo drażliwy: Margrabia spieszy właśnie na schadzkę miłosną z żółtą Peruwianką mieszkającą w sąsiednim domu, o czém ślubna jego towarzyszka została bezimiennym listem zawiadomioną. Ale margrabina zanadto jest damą wielkiego świata, żeby zdradzić się ze swojem odkryciem, które koniec końcem sprawia jéj przykrość łatwą do zniesienia. Sprzeczka więc prowadzona z wielkim taktem w zakresie obojętnego rozumowania przerwać się musi w połowie... margrabia żegna czule małżonkę, udając się niby do klubu, a w rzeczy saméj do oczekującéj go łaskawie sąsiadki: Margrabina podaje mu rękę ze złośliwym uśmiechem i arystokratyczna para rozstaje się zachowując wszelkie pozory zgody.

Los przecież zrządził że nie mieli rozłączyć się tego wieczoru na długo. Margrabia jak prędko wyszedł, tak jeszcze prędzéj wrócił zmieniwszy humor pełen grzecznéj słodyczy na arcykwaśne usposobienie. Wycieczka niepowiodła mu się zupełnie, ktoś ze zręczniejszych współzawodników uprzątnął mu z przed nosa peruwiankę.

Przygoda była dość nie miłą—ale naturalnie tylko dla margrabiego. Dowiedziała się już o niéj margrabina i z minką ironicznego współczucia powitała nadąsanego donżuana. Mimo świetnych zamiarów wypadło mu przepędzić resztę wieczoru sam na sam z żoną w ciszy domowego ogniska. W braku przyjemniejszéj rozrywki, rozpoczęta przed oddaleniem się margrabiego pogadanka ciągnęła się na nowo... Ale waga argumentacyi przechyliła tym razem zwycięztwo na stronę margrabiny. Mąż i pan został pobitym pogróżkami żony: że przykład dany przez mężczyznę skłania opuszczoną bezczynną kobietę do podobnego postępku, gdyż samotność gniew i nudy na które zostaje w skutek niewierności małżonka skazaną odejmuje jéj chęć i możność opierania się pokusom. Zgromiwszy bronią wymowy, margrabina używa następnie potężniejszego jeszcze oręża. Rozplata zalotnie włosy w obecności margrabiego—wzywając go przytem żeby raczył udać się do siebie na spoczynek. No!... to było już nad siły adwokata przywilejów męzkich... Utracić peruwiankę i usłyszeć jednocześnie od żony fatalne *dobranoc*, — a to dopiero zabawne położenie!... Zbawić go mogła już teraz jedna tylko skrucha—i margrabia rad nie rad ukorzył się przed piękną przeciwniczką, czyniąc szczere wyznanie... nie spełnionéj, na nieszczęście, winy... W chwili rozgrzeszenia zasłona spada — rozumie się mówimy tu o kurtynie.

Nie podziwialiśmy talentu pani Bakałowiczowéj w roli margrabiny, — bo doprawdy, doskonała gra téj artystki nie może już być dla warszawskiéj publiczności niespodzianką. Cieniowanie trafne, w którym ruchy, wyraz twarzy i słowa ciągle zmieniając swoją barwę wytwarzają zgodną we wszystkich szczegółach jedność charakteru przedstawianéj osoby, umiejętność skorzystania z każdego rysu uwydatniającego rolę, — są to zwyczajne zalety w grze p. Bakałowiczowéj. Nie dziwiliśmy się także, iż p. Świeszewski potrzebował często pomocy suflera. Miało to nawet pewną stronę dogodną dla *słuchaczy*, których pan Świeszewski nie zawsze w *widzach* swoich chce uznawać... Panna Gilska występowała w dość nieznaczącéj roli, pokojówki...



Chodźmy ztąd.... szepnęła Helena, tuląc głowę na ramiona Szwarca.
Illustracya Henryka Pillatego do powieści.

ZE ŚWIATA NAUKOWE GO I SPOŁECZNEGO.

O środkach przeciwko Ubóstwu.

W skutek rozlicznych przyrodzonych sił i zdolności między ludźmi, w następstwie różnych zajęć i dążności życia, od wieków w życiu towarzyskiem wyrobił się kardynalny rozdział wszystkich ludzi według zasobu materyalnych środków do życia, na: bogatych i ubogich.

Z upływem czasu wszelako rozdział ten stawał się coraz wyraźniejszy, przepaść między jedną a drugą klassą ludzi coraz głębszą, a ich wzajemny do siebie stosunek bardziéj bolesnym i dotkliwszym. Stało się tedy, w kolei czasu, że szorstko bogactwo przeciwstawiło się ubóstwu iż to ostatnie w nędzy i najcięższych potrzebach życia pogrążyło całe klassy społeczne ludzi i postawiło je w zaczarowanem kole tak fatalnych warunków, że podniesienie się z materyalnego ubóstwa, wydobycie się z nędzy i zapewnienie sobie lepszych środków materyalnéj egzystencyi w życiu, stało się dla nich prawie niepodobnem. Nastał więc brak wszelkiéj tak koniecznéj do bytu społeczeństwa równowagi; jedne z najgłów-

niejszych czynników jego zarówno fizycznéj jak i moralnéj egzystencyi, bogactwa, w tak nierównéj rozdzieliły się mierze, iż z jednéj strony nagromadziły się skarby których nie tylko zużyć zupełnie, ale nawet z użytkować w właściwy sposób jedna rodzina nie była w stanie, a z drugiéj ubóztwo i ostatnia nędza, nie dozwalające nawet najkonieczjszych zaspokoić potrzeb.

Był czas, a nawet i dziś jest kraj cały (Anglja) gdzie rozdział na bogatych i ubogich całego narodu jest tak gwałtowny i wyraźny iż prawie nie ma t. z. klassy średniéj, któréj obecność i wyrobienie się społeczno-polityczne, świadczy o najproporcyonalniejszém rozdziale bogactw.

Jak każde materyalne ciało przy nierównym rozdziale sił działających na niego, istnieć, tak i społeczeństwo, przy tak nieproporcyonalnym rozdziale materyalnych jego pierwiastków, egzystować i prawidłowo rozwijać się nie może. Równowaga wszystkich elementów towarzyskiego życia jest konieczną do trwałego jego bytu i normalnego postępu.

Otóż, w obec téj tedy konieczności, oddawna już bo od czasu jak tylko ubóstwo wyrabiać się zaczęło faktycznie jako choroba społeczna, ludzie głębiéj oceniający warunki życia, zaczęli rozmyślać nad środkami zniesienia nędzy klas wielu w niéj pogrążonych. Wziąść jednym dać drugim, rozdzielić w równéj mierze wszystkie materyalne zasoby pomiędzy ludzi tak aby wszyscy jedno posiadali, dokonać tego nawet siłą—to dla wielu marzących umysłów wydawało się nietylko odpowiedniém, stosowném, ale nawet koniecznéme. Na drugiéj pół kuli świata, wśród pięknychi obfitych pól z tamtéj strony oceanu przedsiębrano nawet próby urządzenia społecznych związków zorganizowanych według jednéj majątkowéj skali.

Ale te wszystkie projekta i plany okazały się być utopią. Ludzie nie byli nigdy, nie są i również nigdy nie będą maszynami ażeby raz postawieni na pewném stanowisku obracali się około pewnych centralnych spraw i interesów ale nigdy z niego nie zeszli,—ludzie nie są automatami ażeby poruszali się ciągle według jednéj z góry nienaruszonéj normy i aby nigdy przez indywidualne różnice pracy i oszczędności nie zerwali gwałtowną siłą między niemi ustanowionéj równowagi finansowych i w ogóle ekonomicznych warunków życia.

Skoro tedy matematycznie równy podział dóbr materyalnych między ludźmi jest niemożebny, potrzeba szukać innéj kombinacyi, w skutek któréj złe dotkliwe, bolesne i głęboko zakorzenione—ubóstwo, usunąć by się dało.

W duchu tego przekonania powstała cała literatura dzieł traktujących „o środkach przeciwko ubóstwu,“ szczególnéj bogata we Francyi i w Niemczech. Mnóztwo dzieł, rozpraw, broszur i gazeciarskich artykułów pojawiło się w tym przedmiocie w bieżącém stuleciu. Przed laty kilkudziesięciu ruch ten cokolwiek się zmniejszył, w ostatnich latach znowuż się podniósł, bo ubóstwo w życiu społecznéem coraz bardziéj nie pokojący dla wszystkich przybierać zaczęło charakter.

Z pomiędzy tedy licznych bardzo prac w tym kierunku, na szczególną uwagę zasługuje broszura wydana w tym przedmiocie jeszcze w r 1870 p. Jana Jacoby, i dla tego główny pochód jéj rozumowania w krótkiém streszczeniu podać postanowiliśmy.—Autor tak utrzymuje:

Jeszcze Arystoteles twierdził, iż naturalnym jest zupełnie rozdział wszystkich ludzi na wolnych, mających prawo rozkazywania drugim i rządzenia, tudzież niewolników, obarczonych jedynie obowiązkiem słuchania. Niewolnictwo jest koniecznością i niezbędną potrzebą życia społecznego i państwowego, bo gdyby wszyscy ludzie wolni własną pracą gromadzili niezbędne dla siebie środki do życia, któżby miał w ówczas chęć i sposobność myśleć o kształceniu swego umysłu i zajmowaniu się sprawami państwa.— Jedna wszelako, twierdzi daléj jeszcze Arystoteles byłaby możliwość pozbycia się niewolnictwa, gdyby pracę ludzką można było, za zrządzeniem, lub co najmniéj za współdziałaniem bogów, zastąpić pracą nieuduchowionych narzędzi.

Dziś przecież, jeśli nie zupełnie to w znacznéj części już się to stało i to bez bogów pogańskich ale w sposób zupełnie naturalny, jedynie przez wniknięcie w tajemniczy ustrój praw natury i opanowanie jéj sił. Ale jakiż ztąd skutek? Bogactw wprawdzie przybyło na świecie, to prawda, ale czyż znikło zupełnie ubóstwo? Czyż raczéj nie potrzeba powiedzieć otwarcie, iż los tych co żyją w nędzy zaledwo cokolwiek się polepszył?

Pomyślmy jednakże daléj jeszcze w duchu Arystotelesa i przypuśćmy: iż cała powierzchnia kuli ziemskiéj jest w ręku prywatnych właścicieli, iż maszyny wszelkiego rodzaju także wyrabiają się przez maszyny, słowem iż wynalazki i odkrycia rozliczne doprowadziły do tego, iż pracy ludzkiéj albo wcale, albo w niezmiernie małéj potrzeba ilości. Cóż ztąd? Pewna liczba ludzi za swe bogactwo nabędzie wszystką ziemię, wszystkie maszyny i w ogóle wszystkie środki do życia, a wtedy cóż poczną ci którzy nic nie mają? Żyć będą w nędzy, i umrą z głodu, albo jeśli z łaski bogatych nie będą żywieni, siłą, gwałtem lub podstępem odebrać im muszą ich skarby.

Ale przypuśćmy teraz, a nawet twierdźmy to wytrwale iż nic podobnego nie nastąpi nigdy, nie dla tego, żeby to niebyło możebném ale dla tego iż ludzie rozumni światli i uczciwi do tego niedopuszczą, bądźmy przekonani iż dzisiejszy stan rzeczy, oparty jak na dwóch biegunach osi ekonomicznego świata: na panowaniu kapitału i systemie zarobku, utrzyma się na zawsze. Ale wtedy, cóż ztąd? Ubóstwo wielu, które dziś jest, zostanie na wieki! Jak mu zapobiedz, jak go jeśli nie całkiem usunąć to przynajmniéj zmniejszyć i złagodzić, oto jest pytanie które szlachetny i myślący człowiek rozważyć nieraz powinien.

Dwa są charakterystyczne znamiona dzisiejszych gospodarczych stosunków, różniące je od ubiegléj przeszłości:—system zarobków i wielki przemysł.

Dawniéj, w starożytności — pracą zajmowali się niewolnicy. Dziś każdy jest panem samego siebie, to prawda, ale z drugiéj strony czyliż w istocie niewola znikła zupełnie nawet z powierzchni cywilizowanego świata? Czyliż raczéj nie należy sądzić iż tylko przez *niezależność* zastąpioną została? Dziś każdy sobą rozporządza, ale nie mając żadnéj własności, oprócz sił swego fizycznego i duchowego organizmu (*), musi szukać zarobku w warsztatach ludzi bogatych, aby się wyżywić, i wyrzec się wtedy własnéj swéj woli na rzecz woli tych co rozkazują i żywią. Gdy nie znajdą się ci coby mogli dać pracę a z nią i zarobek, ubogich czeka nędza, ale mimo to nawet nie chcieliby oni powrócić do systemu starożytnego niewolnictwa, bo dzisiaj mimo ubóztwa są ludźmi, a w Grecyi byli zwierzętami w ludzkiéj jedynie postaci.

(*) Francuzi, a przedewszystkiem Thiers, władze fizyczne i intellektualne człowieka uważają za jego własność pierwotną. Właściwie jednakże prawne pojęcie własności tu zastosować się nieda,—lecz jedynie można tu używać wyrazu własności na oznaczenie samoistnéj rozporządzalności swojemi przymiotami ciała i ducha.

W kolei czasu, z wyzwoleniem osobistości człowieka z więzów poddaństwa, powrócono mu także swobodę rozporządzania jego własnością— średniowieczne ścieśnienia w téj mierze—upadły. W skutek zaś wyzwolenia zarówno pracy ludzkiéj jak i własnosci, pod wpływem wynalazków pary i maszyn, ekonomiczna działalność rozwijać się zaczęła niesłychanie szybko, rzemiosła i mały przemysł ustąpić musiały w znacznéj mierze przemysłowi na wielką skalę, a ztąd znowuż potworzyły się z jednéj strony wielkie bogactwa— a z drugiéj wielkie ubóstwo.

Ale mimo to czyż mamy narzekać na ten zwrot nowy ekonomicznych stosunków i czyż moglibyśmy cokolwiek powiedzieć przeciwko wzrostowi przemysłu na wielką skalę, bez zapomnienia ile dobroczynnie on oddziaływa na cały postęp cywilizacyi. I dla tego właściwe pytanie które nas w téj chwili zajmuje tak sobie postawić należy:

bez ograniczenia wolności pracy i bez ścieśnienia przemysłu na wielką skalę, jak przyjść można do zapobieżenia ubóstwu.?

Nam przynajmniéj jedna tylko nastręcza się odpowiedź w téj ważnéj kwestyi:

przez zniesienie systematu zarobków a zaprowadzenie gospodarczych stowarzyszeń.

Jestto prawda którą już wiele bardzo światłych umysłów zeznaje. W wielu bardzo zakątkach ucywilizowanego świata ludzie łączą wzajemnie swą ekonomiczną działalność w formę stowarzyszeń, aby porzucić dzisiejszą metodę pracy zarobkowéj; idzie tylko o to aby dobrze dojść do systematu ekonomicznych spółek. Dziać się to może znowu: tylko za współdziałaniem wszystkich gospodarczych czynników społecznego życia.

Skoro tedy ekonomiczne stowarzyszenia są środkiem do zapobieżenia ubóstwu, więc spytać się teraz musimy: co zarówno robotnik jak i kapitalista uczynić powinien, aby trwale i skutecznie dojść do wielkiéj produkcyi gospodarczéj w drodze stowarzyszeń? (*d. n.*)

BIBLIOGRAFIA.

Hieronim Sawonarola przez Klemensa Kanteckiego. Poznań. 1872. str. 108.

Teofil Lenartowicz, przesyłając p. Kanteckiemu wiadomość o kolosalnym posągu Sawonaroli, który ma być umieszczony w *Campo santo* florenckiém, dołączył kilka uwag o znaczeniu i wpływie znakomitego kaznodziei, „który chciał fundować republikę na entuzyazmie, na miłości chrześciańskiéj, walczył przeciwko kupcom i hipokrytom wszelkiego rodzaju, i zginął ścigany przez nich... Gdyby Aleksander VI nie był go wydał oprawcom, to sztylet kupca czy lichwiarza

florenckiego byłby go dosięgnął. Słowa ewangelii: „oddaj wszystko ubogim, a pójdź za mną”— przeciwiły się ekonomii politycznéj Tusków... Sawonarola zostawił po sobie wielką rzecz dla ojczyzny — on podniósł dusze wielkich artystów; on szkole włoskiéj dał Rafaelów, Bartolomeów, Buonarottich i tylu innych — on zwrócił ich ku Bogu, a ludy cywilizowane obrócił ku nim i ku ojczyźnie swojéj;—sympatyę dla Włoch w całym świecie zawdzięczamy dziełom tych mistrzów, ci zaś natchnienie swoje winni wymowie Sawonaroli i jego świętéj, wielkiéj miłości bliźniego; Sawonarola więc w odrodzeniu Włoch niemałą ma zasługę”. Słowa te mogły posłużyć panu K-mu za wskazówkę, z jakiego stanowiska należało się zapatrywać na szczytny zawód męczennika. Natomiast p. K. przedewszystkiém nalega na prawowierność jego, na to, że nigdy nie występował przeciw zasadom rzymsko-katolickiego kościoła, że się nie wyłamywał z pod jego powagi, lecz że powstawał tylko przeciw demoralizacyi duchownych i świeckich, zachęcał tak jednych jak drugich do poprawy życia, pragnął obyczajowego odrodzenia kościoła, a widząc że temu Aleksander VI stoi na zawadzie, i przekonawszy się, że w inny sposób dzieła swego nie przyprowadzi do skutku, chciał zwołać sobór, któryby z tronu papiezkiego zwalił tego, co się nań wdarł za pomocą przekupstwa. Pomijając niekompetencyę autora w kwestyach teologicznych, przypuszczając nawet, że czytał wszystkie ascetyczne, dogmatyczne, polemiczne i apologetyczne dzieła Sawonaroli, powiemy tylko, że więcéj w oczach naszych ma wagi sąd Lutra samego, który w r. 1528 ogłaszając objaśnienie Sawonaroli do *Miserere*, nazywa go swym poprzednikiem. Dziwniejszym jeszcze wydaje się nam napad autora na protestantów niemieckich za to, że na pomniku Lutra, wystawionym przed czterema laty w Wormacyi, umieszczono Sawonarolę obok Husa, Waldona i Wiklefa. Zdaniem pana K. „wypadek ten, będący tylko nowym objawem braku poczucia sprawiedliwości w narodzie „kulturtregerów”— dziwić nas nie powinien — nas szczególniéj, którym ciż sami Niemcy, mimo wszelkich naukowych dowodów, starali się wydrzeć wielkiego Kopernika, by nim ozdobić swoją Walhalę.” Żadnéj analogii pomiędzy dwoma powyższemi faktami nie widzimy. Nikt z Niemców ani myślał przywłaszczać sobie wymienionych czterech reformatorów; potomstwo zaś idei nie koniecznie kojarzyć się musi z węzłami narodowemi. Na polu wiedzy Galileusz i Newton pochodzą w prostéj linii od Kopernika.

Faktyczną stronę żywota Sawonaroli autor opowiedział dosyć pobieżnie, lecz płynnie i zajmująco.

Dzieje prawa i państwa przedstawione na tle cywilizacyi przez Dra Władysława Dajsenberga. Zeszyt pierwszy. Kraków 1872.

Poznajomiwszy się z pierwszym zaledwie zeszytem *Dziejów prawa i Państwa* przez Dra Dajsenberga niemożemy jeszcze wnioskować o przypuszczalnéj wartości całego dzieła, mającego zawrzeć się, jak głosi umieszczona na okładce odezwa, w dwudziestu zeszytach stanowiących cztery tomy. Ze słów tegoż uwiadomienia dowiedzieliśmy się że autor przeznacza swoją pracę nietylko dla specyalistów, lecz i dla szerszego koła czytelników, chcących zapoznać się z historyą rozwoju ludzkości na tle oświaty. Przyczém doktór Dajsenberg oświadcza że pogląd jego na dzieje filozofii prawa będzie zupełnie oryginalnym, i obejmującym wszechstronniéj przedmiot, niż to dotąd miało miejsce w jakiéjbądź literaturze. Obietnica nader ponętna; jakim zaś uwieńczoną zostanie skutkiem—przyszłość dopiero okaże.

Tymczasem w pierwszym rozdziale książki znajdujemy pobieżny rzut oka na filozofię od Pytagorasa do Kanta. Zarys ten nieodpowiada ściśle swemu założeniu, bo zamiast wytłumaczyć: jak dotąd pojmowano filozofię?—co było właśnie w planie autora — obejmuje raczéj jéj *początki*, czyli najdawniejsze próby i sposoby dociekania zagadek życia i świata w ogólności. Wiadomo atoli że pojęcie filozofii jako oddzielnéj nauki nie zrodziło się wraz z samą nauką i dla tego nienależy szukać jéj definicyi w owych czasach, gdy mędrcowie starożytni wszelką ludzką wiedzę i usiłowania nabycia wiadomości o Stwórcy, człowieku i naturze, jedném powszechném mianem filozofii orzekali. To więc co dr. Dajsenberg przedstawia za niezgodne i omylne pojmowania treści i celu badań filozoficznych, było właściwie różnicą metod i sfer w których spodziewano się znaleźć klucz do tajemnicy stworzenia, a zkąd wysnuły się liczne i niby samoistne gałęzie nauki, uprawiane późniéj odrębnie i pod osobnemi nazwaniami: matematyki, geografii, astronomii, medycyny i t. p. Jako różne rodzaje poznawania prawdy tworzyły one odnogi z jednego pochodzące źródła, oraz ku jednemu skierowane celowi i składały się wspólnie na filozofię starożytną, obecnie zaś gdy się rozrosły, pierwotna ich rodzicielka, matka nauk: filozofia zamknęła się przeważnie w dziedzinie pojęć oderwanych, spraw czysto-umysłowych i moralnych. Słowem, późniejszy i do naszych dni trwający zwrot filozoficzny wyniknął raczéj z potrzeby podziału nauki na specyalności, niż z istotnéj zmiany w pojmowaniu filozofii. Rzecz tę jeszcze inaczéj określić można: *filozofia* znaczyła niegdyś to samo co dziś znaczy *nauka*. Zadaniem jéj było poszukiwać *prawdy* za pomocą najrozmaitszych środków i na wszystkich dostępnych dla ludzkiéj obserwacyi punktach. Po tenże cel właśnie sięga posługując się rozlicznemi sprężynami (gałęziami wiedzy) dzisiejsza nauka. Wyraz uległ zmianie, ale istota rzeczy pozostała nie naruszalną. Zresztą, jednolita celowość tak jest we wszystkich oddzielnych naukach wyraźną że często niepodobna poznać jednéj z nich, niepoznawszy w stosownéj mierze i wielu innych. Ktoby chciał zatem stawić współczesną filozofię na bezwzględnie samodzielnem stanowisku odrywając ją od nauk historycznych, społecznych i przyrodniczych, ten zamierzałby gruntować ją na podstawie anormalnéj i odjąłby jéj niepospolitą część praktyczności i siły. Czy dr. Dajsenberg, to mianowicie uczynić zamyśla? Zwracamy uwagę, lecz jeszcze na pewno nieformujemy zarzutu.

W drugim rozdziale autor rozbiera zasady Kanta, Fichtego i Schellinga, a na ostatniej stronnicy zeszytu przechodzi do Hegla. W rozdziale tym dr. Dajsenberg zarysowuje już z lekka własne filozoficzne stanowisko, które prawdopodobnie będzie idealném, ale też na tem przypuszczeniu ograniczyć się wypada. O idealistach szkoły niemieckiéj autor wyraża się dość szorstko, chociaż nie śmielibyśmy ręczyć że nie jest to zwyczajne tylko nieporozumienie się adepta z mistrzami, co naszym zwłaszcza filozofom często się zdarza. Bądź co bądź, według d-ra Dajsenberga Kant „miernym był myślicielem”, Arystoteles drugorzędną potęgą umysłową, Bako, Locke, Fichte Schelling, Hegel zarówno jak i dwaj pierwsi filozofowie „budowali nędzne chaty po mniéj lub więcéj zasadnie *zburzonych* genialnych utworach (Platona Descartes'a, Spinozy). Niełagodniéj też obchodzi się autor i z systematami poprzedzającemi ową filozoficzną budowę której sam ma być twórcą. Nie zadawalając się bowiem wykreśleniem ich z rzędu pomysłów zasługujących na poważne studya, radzi on zatrzeć, co najprędzéj, wszelkie ślady dawnego ich wpływu, utrzymując że nowoczesnym poszukiwaczom prawdy na nic już one przydać się niemogą, lecz owszem, zarażają szkodliwym wyziewem latorośl nowéj nauki. Ta ostatnia jednak nie jest, zdaniem dra Dajsenberga, w posiadaniu materyalistów zaprzeczających samoistności myśli, bo są to za zwyczaj „lekkoduchy, które powinnyby się jeszcze same uczyć nimby innych uczyć chciały”... ani wyraża ją panteizm wypływający ze *spodlenia*, ani pozytywizm do którego popchnięci zostali przez Comte'a „ludzie płytcy, nie zbyt przenikliwi, a nadto niewielkiéj tęgości charakteru”, i który to kierunek jest „nędzą moralną nie do opisania”, płodem „straszliwego znikczemnienia moralnego”... Gdzie zaś mianowicie ukrywa się prawdziwie trafna metoda? jaki zbawczy systemat uratuje nareszcie ludzkość od powszechnéj klęski?... o tem autor nic dotąd nienadmienia.

Roztrząsając w krótkim przeglądzie *Krytykę czystego rozumu*, dr. Dajsenberg powiada: „Bezsens twierdzenia Kanta że człowiek niepoznaje rzeczy takiemi, jakiemi one są same w sobie, lecz odmiennemi wypływa jak najjaśniéj z tego, że jeśli człowiek nie zna numenów rzeczy (t. j. kantowskiéj: *das Ding an sich*, rzeczy saméj w sobie) tylko fenomena, to niemoże i wiedzieć czyli numena nie są takiemi jakiemi są fenomena”. Tak, jest tu może „bezsens” ale niewiadomo po czyjéj stronie. Trzymając się bowiem powyższego rozumowania, należałoby mniemać że skoro miód jest słodkim dla nas, jest też słodkim i dla siebie, równie jak piołun musiałby sam dla siebie być gorzkim, żelazo twardém, złoto połyskliwém, lód zimnym, śnieg białym, chleb pożywnym lub niestrawnym. W takim tylko razie to co wiemy o numenach (a znamy jedynie naturę wrażeń, które w zetknięciu się z niemi otrzymujemy) zgadzałoby się z tém, czego niewiemy, t. j. z ich istotą po za obrębem naszych sensacyi bytującą. Idźmy daléj: dźwięk struny, promień słoneczny i woń kwiatu są fenomenami oderwanemi od swego źródła: struny, słońca i kwiatka... istnieją one, ale czemże są dla siebie? czy tem samém, czem dla nas? Ktożby podjął się twierdzić na serjo że tu numen nieróżni się niczem od swego objawu, od wrażenia które na zmysły ludzkie wywiera? To samo pytanie ściąga się i do wszelkich innych form (zewnętrznych przejawów rzeczy). A cóż stawi przeciw logiczności uwag Kanta dr. Dajsenberg? Zdanie, że skoro o czemś nie wiemy jakiem jest, to nie możemy wiedzieć także jakiem nie jest. Lecz taka odpowiedź nie rozstrzyga kwestyi. Z twierdzeń Kanta wynika albowiem wniosek innego rodzaju, a mianowicie iż rzecz sama w sobie nie jest tem samém, czem są jéj fenomena, czyli że to co niewiadome nie jest *tém samém* (a nie *takiém samém*) co wiadome. „Czego nie znam, mówi dr. Dajsenberg, tego też z niczém porównywać nie mogę”. I słusznie, ale nie o porównanie przecież tu chodzi, owszem cały kłopot leży w niemożebności przedstawienia sobie w jakibądź sposób rzeczy nieznanéj.

Krytyka czystego rozumu, z tego najwięcéj powodu niema zachowania u Dra Dajsenberga że zaprząta się, pewnym tylko rodzajem (!) wyobraźni (rozumem), wtedy gdy wyobraźnia i wola są jak mówi autor „dwoma siostrzycami zaj-

mującemi całość ducha.” Siostrzycami być może, zajmującemi całość ducha—o tém, co najmniéj, godzi się wątpić. Chyba że pod wyrazem wyobraźnia, autor pojmuje summę czynników umysłowych, a pod wyrazem wola—żywioły uczucia w ogóle, a w szczególności miłość. Taką wyobraźnię i taką wolę bardzo wysoko postawić można, ale w ten sposób zapewni się tylko tryumf nazwaniom a nie przedmiotowi u którego imię zostało wziętém. Na co jednak posłużyć może owa maskarada? czy ku większemu zmięszaniu języków, żeby w końcu żadną miarą ludzie z ludźmi porozumieć się nie mogli? czy też dla ocalenia pozorów, gdy już w samym gruncie rzeczy ustępstwo zrobić należy?... Cożkolwiek bądź, *z woli z dobréj woli*, i z wyobraźni Dra Dajsenberga nie wiele tuszymy zysku dla *woli wolnéj*, jak ją zwykle tłumaczyć chcą moraliści, i dla wyobraźni, jak ją uważają ultra-estetycy.

Kategoryczny imperatyw Kanta, zjednywający przed sądem Dra Dajsenberga częściowe rozgrzeszenie niemieckiemu filozofowi nie jest w istocie niczem więcéj jeno regulatorem czynności ludzkich o wiele wadliwszym od krytyki rozumowéj. Sumienie stanowi bezwątpienia potęgę duchową, ale nie zwiększając wbrew i prawdzie jego wpływu który, tak już ma nie małą wagę w życiu przypatrzmy się bliżéj charakterowi tego moralnego czynnika. Sumienie mówi człowiekowi: powinieneś! nakazując przezto trzymać się dróg prawdy, którą za taką człowiek w *rozumie swoim* i w *sercu* uznaje; każe mu strzedz się fałszu, czyli znowu chronić się tego co rozum i serce człowieka za fałsz poczytują radzi dążyć do dobrego a odrzucić złe, lecz prawda i fałsz, dobre i złe znaleźć tylko mogą bodziec i dźwignię nie zaś swój probierz rzetelny w kategorycznym imperatywie. Gdyby prawda absolutna i absolutne dobro było nam kiedykolwiek dostępne, lub znajdowało się już teraz w naszéj świadomości i mocy, sumienie starczyłoby wybornie za sąd i sprawdzian obowiązku skłaniający zawsze człowieka ku temu co istnie potrzebne i godziwe. Lecz dotąd tak nie jest. Jedynie rozum i praktyka uczą nas o prawdzie, jedynie one dają nam poznanie względne tego co uczynić powinniśmy, a co z biegiem czasu ciągle rozwijać się, uzupełniać i przetwarzać się musi. Sumienie zaś znagla nas tylko do wykonywania pojmowanéj rozumem i odczuwanéj sercem powinności. Dopóki więc umysł, uczucie i warunki życia utrzymują się w zgodzie z sobą, póty sumienie w przymierzu z niemi może stawić zbawienny opór ślepym chuciom i grzesznym pokusom, lecz właśnie w porze gdy myśl i serce opanowanemi zostaną przez zwątpienia, kategoryczny imperatyw sadowiąc się bezprawnie na miejsce logiki gorszym jest zaiste, od niéj doradzcą. Logika stara się przekonać, rozjaśnić błędy, odkryć zasadę słuszności, sumienie przeciwnie naprzekor sercu i rozumowi zmusza człowieka trwać w nałogu Jego wyrok „powinieneś!” nie ma wtedy rozsądnego znaczenia... Zerwanie z tradycyą, z bratniem społeczeństwem wierzącém tak jak my wczoraj, lecz inaczéj jak już dziś wierzymy, osłabienie moralnéj spójni z najdroższemi osobami, a z drugiéj strony moc przyzwyczajenia i nowe niepewności na nowych ścieżkach oto względy dopomagające z ujmą bezinteresownéj cnoty głosowi kategorycznego imperetywu. Czasem on zwycięża, czasem bywa zwyciężonym, po nużącéj, i uporczywéj walce, w obu zaś okolicznościach przedstawia się jako złowroga postępowi zawada. Pomimo to, sumienie nie przestaje być dodatnią siłą w człowieku, gdy stosuje działalność swoją do rozkazów rozumu i serca zajmujących (według nas, a o ile zdaje się, w sprzeczności z opinią Dra Dajsenberga) całość ducha ludzkiego.

Z ciekawością oczekujemy dalszego ciągu *Dziejów prawa i państwa*. Praca ta w każdym razie zapowiada się bardzo poważnie i nie będzie zapewne bez korzyści dla ogółu, który u nas w danéj chwili, najczęściéj jednéj tylko strony słucha: zwolenników skrajnego materyalizmu, lub dla odmiany, pozytywistów, bratnich po trosze materyalizmowi. A słuszność i niesłuszność muszą tu być po obu stronach. Idzie o to, żeby odzielić dobre ziarno od plewy gdziekolwiek bądź ono się znajduje.

Styl Dra Dajsenberga zaleca się niezmierną jasnością, język zaś w wielu miejscach niepoprawny. Przytaczamy ważniejsze usterki: „Obok tych znajdują się *ale* i tacy” zamiast: *ale* obok tych i t. d.; *trosków* zamiast trosk; *w żadnym innym jak tylko* celu, zamiast w jedynym lub w wyłącznym celu; *wszystkiemu* bytowi, zamiast, całemu lub wszechbytowi, *pieniem* zamiast pniem; *rozchodzi mi się tutaj, rozchodzi się* zamiast chodzi mi, chodzi tutaj *mówił nie będzie*, zamiast: nie będzie mówił; to znów *ale*, zamiast *ale* to znowu i t. p.



SYRAKUZA.

SYRAKUZA.

Z półmilionowego miasta Syrakuz zeszła tylko dzisiejsza Siragossa miasteczko o 20,000 mieszkańców, i poprzestaje na tém, iż się mieści na wyspie przylądowéj która była miejscem zawiązku osady greckiéj rozwiniętéj późniéj w stolicę Sycylii. W Syrakuzach urodził się Archimedes; na jego trzech pomysłach stoi znaczna część budowy nauk ścisłych: sekcye koniczne, ciężkość gatunkowa ciał, i drąg zwany archimedesowym uwiły mu laur do którego przybyła jeszcze w ostatnich chwilach życia obrona Syrakuzy przeciwko Rzymianom za pomocą oddzielnego przyrządu zwierciadlanego (zdaje się) do palenia okrętów z znacznéj odległości, Syrakuzy mimo całe poświęcenie obywatelskie zgrzybiałego uczonego zdobyte przez Rzymian zostały, a sam obrońca ich śmierć znalazł z ręki żołdaka chciwego mniemanych jego skarbów; od téj chwili upadek Syrakuzy rozpoczęty zamienił ją w dziś pozostałą mieścinę. Z szczątków dawnéj świetności pozostał wielki cyrk, parę świątyń zburzonych i jedna w całości (Minerwy), zamieniona na kościół.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 29 Мая (10 Іюня) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.